

Moje „dzikie” życie

Od kiedy tylko pamięta interesował się zwierzętami. Przede wszystkim chciał im pomagać – zwłaszcza gdy były ranne lub chore.

Dlatego sam stworzył pierwszy Ośrodek Rehabilitacji dla Dzikich Zwierząt działający na terenie Nadleśnictwa Katowice – jednoosobowy sztab szybkiego reagowania.



Jacek Wąsiński z młodym łosiem

M. WĄSIŃSKI

ierpiąca sarna na drodze, ranny ptak, egzotyczne zwierzę w wieżowcu. Leśne Pogotowie przy Nadleśnictwie Katowice stworzone przez Jacka Wąsińskiego ma już 25 lat.

– Początkowo działałem zupełnie samodzielnie – wspomina Jacek Wąsiński. – Chciałem jednak, aby społeczeństwo widziało, że chorymi zwierzętami zajmuje się leśnik. Dlatego z czasem – dzięki wsparciu moich przełożonych – Pogotowie zaczęło działać pod szyldem Lasów Państwowych.

Na początku lat 90. niewiele osób w Polsce myślało o pomocy dla dzikich zwierząt. Owszem, leśnicy zawsze byli blisko tych spraw i niejedna chora sarna znajdowała przystań nieopodal leśniczówek. Jacek Wąsiński, jako jeden z pierwszych w Polsce dostrzegł, że również dzikie zwierzęta – chociaż przebywające w swym własnym, nie do końca nam znanym świecie – potrzebują wsparcia.

Co mógł im zaferować leśnik? Po pierwsze, szybką pomoc. Dlatego Ośrodek Rehabilitacji Dzikich Zwierząt w Mikołowie działa jak pogotowie.

– W miarę moich możliwości przyjeżdżam na miejsce i zabieram potrzebującą pomocy zwierzę do Ośrodka – mówi J. Wąsiński.

Po drugie – rehabilitacja, przywracanie do normalnego życia. W Ośrodku chore zwierzęta spędzają kilka dni, tygodnie, miesiące, a nawet lata. Niektóre nigdy już nie wrócą do natury. Są bowiem tak okaleczone, że powrót do natury skończyłyby się dla nich tragicznie. Ale i one mogą pełnić rolę terapeutyczną – dla innych współbratniaków, którzy

jeszcze walczą o prawdziwe, dzikie życie.

– Uwielbiam zwierzęta, ale zawsze powtarzam: nie wolno ucłowieczać zwierząt – wyjaśnia J. Wąsiński. – Nie wolno przekraczać pewnych reguł. Mamy im pomóc, ale powinniśmy uszanować ich dzikie zasady życia.

W sadybie Jacka Wąsińskiego przez ostatnie ćwierćwiecze znalazło schronienie ponad 12 tysięcy dzikich zwierząt, około 300 gatunków. Prawie połowa trafiła na wolność i to jest najlepsza miara pracy wykonanej w Ośrodku, główny cel jego działalności. Ośrodek to nie ogród zoologiczny, ale konieczny przystanek z nadzieją na życie na wolności.

– W ciągu tych lat było wiele emocji – podsumowuje J. Wąsiński. – Były wzruszenia, gdyż – co tu dużo mówić – z niektórymi zwierzętami po prostu się zaprzyjaźniłem. Bywały przypadki naprawdę trudne, wymagające sporo wysiłku – fizycznego i psychicznego. Ucieczka „Małgosi” – rysia, która nie widzi na jedno oko – i jej odnalezienie, było dla mnie szczególnie dramatyczne, ale zakończono sukcesem. Chociaż przez jego ręce przeszło ponad 12 tysięcy zwierząt, daleki jest od rutyny.

– Dlatego, obok empatii, trzeba zachować dystans – mówi J. Wąsiński. – Wciąż się uczę, współpracuję z wieloma osobami, które mają podobne zainteresowania i wiedzę.

Czy po 25 latach z takim samym zapałem Jacek Wąsiński rzuca wszystko i jedzie do rannego zwierzętaka?

– Nawet z jeszcze większym – mówi. – Jednak taka praca bywa wyczerpująca. Zdarzało się, że jechałem do rannych zwierząt gdzieś

na końcu Polski. Po nocach. Spałem 2-3 godziny i znów musiałem być w gotowości. A przecież w Ośrodku toczy się normalne życie. Trzeba podać zwierzętom karmę, opatrzyć ranę, naprawić płot, który jakieś zwierzę chciało sforsować. A potem przyjeżdża telewizja i będziemy kręcić. Przez tych 25 lat byłem cały czas w ruchu. Nie byłem na wakacjach, w grę wchodziły tylko 2-3-dniowe wypadki. Teraz łąpię się na tym, że już się trochę postarzałem. Pewna lekarka mi powiedziała: jeśli chce pan dalej pomagać zwierzętom, musi pan także zadbać o siebie.

I co z tego wyszło?

– Zmieniłem styl życia. A gdyby nie rodzina, nie dałbym rady tego wszystkiego ciągnąć. Ja to po prostu lubię. Nie chciałbym być „szefem” Ośrodka, który ma sztab ludzi do pracy, wołę sam dotknąć tej pracy ze zwierzętami i mieć stały kontakt ze swoimi podopiecznymi. To właśnie daje mi największą przyjemność, to moje życie.

Wiadomość z ostatniej chwili.

– 5 maja zadzwonił do mnie pan, który prosił o pomoc dla młodej, osieroconej kuny – zwierza się J. Wąsiński. – Szukał pomocy na terenie Małopolski, ale jej nie znalazł. Głos w słuchawce wydawał mi się znajomy, ale dopiero gdy wieczorem przed moim ośrodkiem zobaczyłem Antoniego Macierewicza z żoną Hanną, wszystko było jasne. Państwo Macierewiczowie przez trzy dni sami karmili zwierzę. Byli bardzo zadowoleni, że je przyjąłem. Ośrodek im się podobał, a ja byłem pod wrażeniem ich opiekuńczości.

JACEK DEREK



Dofinansowano ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Treści zawarte w publikacji nie stanowią oficjalnego stanowiska organów Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach